

Mateusz Łastowiecki
rolnik – archeolog

Wspomnienia córki

Gdyby spytano mnie o główne cechy charakteru mojego taty, wymieniałabym: uczciwość, pracowitość i szacunek oraz oddanie wobec każdego człowieka, który stanął na jego drodze, jak również niezachwiana wiara w bliźniego.

To nie wyidealizowane spojrzenie córki na ojca. Tak o nim mówiono. Niektórzy pokpiwali z tej postawy życiowej. Niektórzy ją podziwiali.

Tata urodził się w styczniu 1934 roku w Tarnogórze. To duża wieś nad rzeką Wieprz w województwie lubelskim. Jego rodzice byli rolnikami. W pewnym momencie prowadzili też karczmę. Lubił opowiadać o swoim dzieciństwie. Chętnie wracał wspomnieniami do zabaw na błoniach nad krętą rzeką. Wraz z bratem często prosiliśmy: - Tatuś, opowiedz jak byłeś mały... I tata opowiadał.

O tym jak w czasach okupacji jago mama, a moja babcia nie bała się żołnierzy niemieckich i odważnie sprzeciwiła im się, gdy przyszli zarekwirować ostatnią świnie. O tym, jak schowała go na cały dzień za wielkim piecem, gdy Niemcy zabierali do niewoli wszystkich chłopców ze wsi w odwecie za udaną akcję polskich partyzantów.



Tarnogóra, 1942 rok.
Mateusz Łastowiecki (w białej koszuli) z
siostrą Alicją (siedząca po prawej).

Tata bardzo kochał i szanował swoich rodziców. Do swojego ojca zwracał się w 3 osobie liczbą mnogą: „Niech tatuś siądą”.

Do podpoznańskiego Spławia losy rzuciły go po wojnie. Miał wtedy 11 lat. W Poznaniu chodził do szkół. Najpierw powszechnej na Żegrzu, dokąd dojeżdżał rowerem. Potem do liceum im. I. J. Paderewskiego. Podobno zaliczał po dwie klasy w ciągu roku. Spieszyło mu się, żeby pomagać rodzicom w gospodarstwie.

Moja babcia jednak chciała, by dalej się kształcił. Gdy zaczął studiować historię kultury materialnej (tak nazywano archeologię) na Uniwersytecie Poznańskim, był najmłodszym studentem. Nieraz pytaliśmy go: „Dlaczego archeologia? Odpowiadał ze śmiechem: „...bo nikt z nas studentów nie wiedział, co to jest. Przyjmowali wszystkich chętnych”.



Mateusz Łastowiecki w czasach studenckich, lata 50. XX wieku.

Tak poznał swoją wielką miłość i pasję. Oddał się jej z kretelem. Jak mawiała jego żona – „Żeby zjadł na archeologii”.

Pozostawał jednak wierny swej pierwszej miłości: pracy na ziemi.

Dzielił swój czas między naukę i pracę w gospodarstwie w Sławiu. Był młody, sił mu starczało...

Studia ukończył w 1955 roku. Rozpoczął pracę jako asystent naukowy w Zakładzie Archeologii Uniwersytetu Poznańskiego.



Mateusz Łastowiecki - wykopaliska archeologiczne w Kołobrzegu 1957.

W latach 1970-1978 związany był z Muzeum Archeologicznym w Poznaniu. Z ramienia tej placówki pełnił funkcję kierownika Rezerwatu Archeologicznego w Gieczu niedaleko Środy Wielkopolskiej. Spędziliśmy tam 2 lata. Tata organizował wystawy i opracowywał materiały z wykopalisk prowadzonych w okolicy. Nawiązał wiele serdecznych przyjaźni z okolicznymi gospodarzami i pracownikami fizycznymi Muzeum – palaczem, sprzątaczką, panem od porządkowania zieleni. Z takimi ludźmi najchętniej rozmawiał.

Praca kierownika Rezerwatu nie wypełniała jego czasu bez reszty. Było przecież pole...

W Spławiu zostało kilka hektarów do obrobienia i łąka pod lasem.

A jeszcze Rybitwy...

Równocześnie z pracą w Poznaniu tata nawiązał współpracę z Muzeum Pierwszych Piastów na Lednicy.

Wraz z pierwszym dyrektorem tej placówki Jerzym Łomnickim organizowali działalność Muzeum. Tak zwany duży i mały skansen. Domeną taty była wyspa Lednica z ruinami pierwszego palatium na ziemiach polskich i siedzibą władców Mieszka I i Bolesława Chrobrego. Badania archeologiczne prowadził na niej nawet po przejściu na emeryturę. Wspaniałe były dla mnie – małego dziecka - ciepłe lata spędzone na wyspie Lednica. Wśród studentów archeologii, plastyków, muzyków. Wyspa, jak miejsce magiczne przyciągała różnych artystów i inne wrażliwe dusze. Tata zajmował się praktykami adeptów archeologii. Był bardzo lubiany przez studentów. Nieraz słyszałam jak mówili do siebie, że najlepiej praktykować u Mateusza, bo roboty po uszy, ale się człowiek przynajmniej czegoś nauczy. Tata był bezpośredni ze studentami. Mówił każdemu po imieniu, choć byli już przecież dorośli. Nie mieli nic przeciwko. Zapraszali go na swoje ogniska. A on nigdy nie odmawiał i nigdy nie przychodził z pustymi rękami. Zdarzało się, że udzielał młodym kolegom drobnych pożyczek pieniężnych. Często bezzwrotnych. Mama złościła się wtedy, że pewnie oddałby też i ostatnią koszulę, gdyby któryś z nich poprosił. Takie tatowe podejście do innych było przyczyną wielu niesnasek małżeńskich. Bywało bowiem, że kasa domowa świeciła pustkami, a tata ostatnie grosze pożyczał potrzebującym. Potem sam pożyczał od innych, żeby zabezpieczyć byt rodzinie..

No ale, co z Rybitwami...

Z tej wielkiej, wspomnianej już, miłości do ziemi, tata zakupił nad brzegami Jeziora Lednickiego, we wsi Rybitwy, 10 hektarów ziemi ornej.

I tu zaczęła się duża polka.

Trzy miejsca do życia... równocześnie.

Spławie, Giecz, Lednica.

Jak nadążyć, jak nie zaniedbać? Do kiedy starczy sił?

Tata nigdy nie narzekał, wręcz odwrotnie.

Cieszył się wszystkim!

Jak przemieszczał się w te trzy miejsca? Rowerem...

Chociaż na początku lat 70. rodzice zakupili syrenkę 105, prowadziła ją mama.

Tata nigdy nie podszedł do egzaminu na prawo jazdy. Nie umiał odpowiedzieć dlaczego. Prawo jazdy posiadała mama. Pracowała zawodowo jako wizytator przedszkoli w powiecie poznańskim. Jeździła do różnych wsi i miasteczek, bywało że odległych. Samochód się przydał.

Ale co z tatą...

Absolutnie nie chciał angażować żony w swoje sprawy, choć zawsze służyła mu pomocą, ale do zaopiekowania było prawie 20 ha w dwóch odległych miejscach.

Do podróży więc pozostał mu rower.

I tak, z Giecza do Rybitw, bocznymi drogami przez lasy i pola – ok. 30 kilometrów. Z Giecza do Spławia też ponad 20 km.

Zamyśliłam się ciężko nad tym, co napisałam, bo uwierzyć nie mogę. Ale tak było. Po mozolnej pracy na polu w Rybitwach tata wsiadał na rower i jechał do nas, do Giecza. Przyjeżdżał nieraz już po zmroku. Mama wychodziła na drogę i wypatrywała go z niepokojem

W takich rozjazdach minęły 2 lata. Gdy mieszkający w Spławiu dziadek zestarzał się i rozchorował musieliśmy opuścić Giecz i tata zajął się gospodarką spławską. To był czas, gdy na krótko, ale porzucił archeologię.

Były to też ciekawe lata, bo tata chciał udowodnić wszystkim, że małe gospodarstwo rolne może wyżywić, w satysfakcjonującym stopniu, czteroosobową rodzinę. Wiódł na ten temat zapalczywe dyskusje z przyjaciółmi, którzy śmiali się z jego idealizmu. A on się uparł. Uprawiał zboża i warzywa. Kiedy modny był ostropest, pole w Rybitwach porośnięte było ostropestem. Pamiętam również błękit Inu. I kampanie buraczane. Buraki cukrowe wykopywaliśmy nieraz w grudniu, w mrozie i śniegu... Bo tata zawsze dostawał jakieś ostatnie terminy podczas kontraktacji. Bo się nie umiał wyklócać i inni ważniejsi, albo bardziej krzykliwi wyprzedzali go. Nigdy nie rozpychał się łokciami. Nie zazdrościł innym. Raczej podziwiał ich umiejętność radzenia sobie w życiu. To był koniec lat 70.

Stan wojenny postawił nas w dziwnej sytuacji. Tata wrócił do pracy w Muzeum na Lednicy. Ale roli nie porzucił! W związku z posiadaniem hektarów nie przysługiwały nam kartki żywnościowe. Inni rolnicy kombinowali jak mogli, przepisywali gospodarstwa, fikcyjnie pozbywali się ich ... Pomysłowość była wyjątkowa. Ale mieli przydział na te głupie kartki. My nie, bo tata był do bólu uczciwy. Nie mogliśmy kupić masła, mięsa. Według władz, jako rolnicy powinniśmy sami sobie zapewnić produkty spożywcze. Tylko jak hodować świnię, kury i inne zwierzę, co ma pierze, gdy trzeba pracować na etacie i uprawiać rolę i jeszcze chciałoby się jakąś książkę przeczytać albo zapoznać się z potrzebnymi archeologowi do pracy publikacjami naukowymi? Przez pewien czas próbowaliśmy. Zabudowania gospodarskie w Spławiu były. Mama więc zajęła się hodowlą świń na kiełbasy i schabowe oraz królików na pasztety. (nauczyła się robić świetne pasztety – była bardzo dzielna).

Muszę tutaj zrobić króciutki wtręt o mamie. Pracowała wtedy w Tulcach w szkole podstawowej. Tam kupowała od gospodarza nieodciągane mleko. Ubijała z niego coś na kształt masła. Pamiętam jak chodziła po pokoju i potrząsała butelką, w której najpierw to mleko bulgotało, a z upływem czasu zaczynało mlaskać i powstawało dość smaczne smarowidło do chleba. Nie było to klasyczne masło, ale jednak coś na chlebie było.

Tata w dalszym ciągu uprawiał warzywa. Zawsze na polu były ziemniaki, marchew, pietruszka, kapusta flancowana po deszczu. Wszystko ręcznie sadzone, siane, nawożone. Z parku maszynowego gospodarstwa w Spławiu pamiętam dziabki różnego rodzaju, opielacze, wóz konny i oczywiście konia.

Wielką nabożnością darzona była też zwykła kosa. Traktor? A kto by go prowadził? Kto naprawiałby? Był koń i koniec.

Gdy mój brat po skończeniu szkoły rolniczej, zaczął gospodarzyć z tatą, zakupili do spółki z sąsiadem rolnikiem stary traktor Ursus. To było w Rybitwach. Pamiętam, że traktor często się psuł, a koszty napraw ponosił tata.



Praca na polu w Rybitwach, 1988 rok.
Widać tył traktora Ursus.

Podczas żniw trzeba było jednak wynajmować kombajn. I tu toczyły się boje. W bazie maszynowej kółka rolniczego był jeden, czasem dwa kombajny na całą wieś. Trzeba było sprytnie umówić sobie kolejkę z kombajnistą i z kierownikiem bazy. Znowu, kto pierwszy, ten lepszy. A tata nigdy pierwszy nie był...

Ale, gdy kombajn w końcu wjechał na jego pole, to było jak najświętszy obrządek. Stawał obok kombajnisty i obserwował z napięciem jak „sypie” ziarno i czy zdążą ze wszystkim przed burzą, bo od Jaryszek jakaś ciemna chmura idzie.

Nam też się udzielało i wstrzymywaliśmy oddech. A potem mama biegła do taty z chustką na głowę lub kapeluszem, bo przecież było gorąco, żywe słońce z nieba paliło, a on na pewno dostanie udaru słonecznego!

Ze zniecierpliwieniem oganiał się od niej mówiąc: „Maluda, nie kręć się tutaj. Lepiej zrób kombajniście kanapki i jakieś picie.”

Tata zawsze nazywał mamę „Maluda” lub „Malutka”.

Jesienią, po przyjeździe z pracy na Lednicy, tata z mamą siadali w kuchni i robili pęczki z natki pietruszki. Zamawiał je pewien prywatny sprzedawca warzyw. Na wieczór średnio „wychodziło” 100 pęczków. To był tak zwany „zastrzyk” gotówki, której zawsze było potrzeba. Pensje w budżetówce były niskie. A muzeum i szkoła to budżetówka. Pieniądze zwykle potrzebne były na nawozy, nasiona, zapłacenie za usługi w bazie K.R. no i podatki rolne.

Ciężkie były te lata 80.

Jednak udało się jeszcze tacie postawić mały domek w Rybitwach. Miał już gdzie schronić się po pracy na polu. Nie musiał wracać do Sławia. Mama była już na emeryturze i często zostawała z nim. Warunki na początku były prymitywne. Woda i prąd ciągnięty był od sąsiada. Jesienią wstawiało się piec – kozę jako ogrzewanie. Za to widok z ganku był bezcenny. Wschody słońca i panorama wyspy Lednica. Pomału domek stawał się coraz bardziej przytulny. Mama miała umiejętność aranżacji wnętrza. Tu jakaś firaneczka, tu serwetka, tam pomalowana na ludowo szafka...

Letnie wieczory na ganku ściągały przyjaciół...

W latach 90., gdy już było pewne, że mój brat nie przejmie gospodarstwa w Rybitwach, tata wydzierżawił ziemię.

Od tego czasu skupił swe siły na badaniu Ostrowa Lednickiego. W końcówce lat 90. wraz z ekspedycją badaczy archeologów z Krakowa, odkrył w Palatium na wyspie jedyne w Polsce półkrzyżowe baseny chrzcielne. Mogło to być miejsce chrztu Mieszka I i jego dworu. Poszukiwały takiego miejsca różne ośrodki badawcze w Polsce. Różni naukowcy spierali się na jego temat.

Radością taty było też odkrycie przyczółku tzw. mostu gnieźnieńskiego na Wyspie. Położenie mostu poznańskiego, czyli zachodniego odkryto już wiele lat temu. Gdzie zaczynał się na Wyspie most wschodni – nie wiadano. Pamiętam ogromny dół na brzegu jeziora, po wschodniej stronie Wyspy. Ustawicznie zalewany był przez wodę. Każdego ranka trzeba było ją najpierw wylać przy pomocy wiader (później dopiero wykorzystywano pompy pływakowe), by móc przystąpić do badań. Na dnie tego dołu odkryto wreszcie belki i ślady spalenizny. To był wschodni przyczółek. Na obu mostach podczas napadu Brzetysława czeskiego w 1038 roku rozegrały się bitwy, które zakończyły się podpaleniem mostów i ostatecznym zniszczeniem grodu lednickiego. Odkrycie dało asumpt do zorganizowania wystawy w pawilonie Muzeum. Wykorzystano do niej te właśnie spalone, odkryte przez tatę i jego studentów, belki.



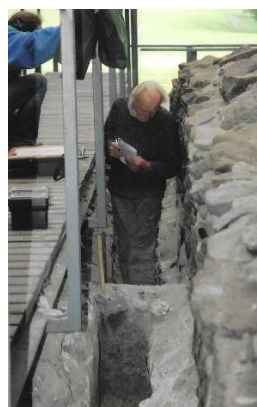
Mateusz Łastowiecki (pierwszy z prawej) i członkowie ekspedycji archeologicznej z Krakowa w przerwie nad badaniami baptysterium, lata 1996-1998, Ostrów Lednicki.



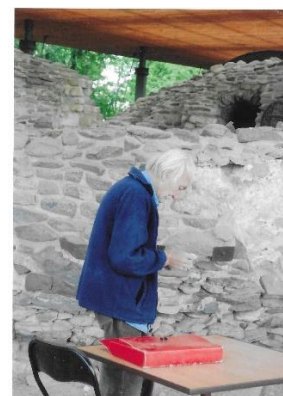
Mateusz Łastowiecki podczas odkrywania przyczółku mostu gnieźnieńskiego, 1992 r. Ostrów Lednicki.



Niwelator – niezbędny sprzęt archeologa. Ostrów Lednicki.



Badanie ruin palatium na Ostrowie Lednickim .



Prace wykopaliskowe kontynuował tata do emerytury. Ale również na emeryturze, właściwie to do końca życia.

Był szczęściarzem, bo jego praca zawodowa był równocześnie jego pasją i miłością. Permanentny optymizm pozwalał mu z wiarą patrzeć na świat i innych ludzi. Czytał bardzo dużo. Lubił poezję. Orientował się w polityce. Z młodymi ludźmi rozmawiał jak z kolegami. Znał nazwy młodzieżowych zespołów rockowych. Z różnych wyjazdów związanych z zawodem, np. do Krakowa przywoził płyty Maanam, Lombardu, ale też Ewy Demarczyk. On wskazał nam postać E. Stachury, R. Wojaczka. Sentymentem darzył serial TVP „Plebania”. Miejscem akcji tego filmu były strony z dziecięcych lat taty.

Mogę śmiało powiedzieć, że jego życiowa postawa była wzorem nie tylko dla mnie. Jeden z jego przyjaciół lednickich napisał we wspomnieniu: „Pokazał mi nie tylko, jakim można być Badaczem, ale przede wszystkim jakim można być Człowiekiem.” (dr Janusz Górecki).

Ewa Łastowiecka